

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu l. 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań 10 kwietnia, 1888 r. —

Nr. II.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mkr. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego wieczora — Stella miała zaledwie jedenaście lat — Meineck nietrzeźwy powrócił do domu i przypadek zrządził, że w tym stanie spotkał się z żoną i córkami. — Następnego dnia przy obiedzie, czując się trochę zmieszonym, a nie chcąc wobec służby okazać tego, mówił więcej i głośniejszy, niż zazwyczaj, w ogóle przybrał tę wyzywającą postawę, jakiej często używają mężczyźni, aby ukryć swe pomieszanie. — Położenie stawało się drażliwym; żona raz jedyny zwróciła mu uwagę, następnie, odwróciwszy się do męża plecami, rozpoczęła uczoną dysputę ze starszą córką Franciszką o nowo ustanowionem angielskiem prawie i odtąd ani matka, ani córka jednym słówkiem nie okazały swego oburzenia, ale ich oczy pogardliwe rzuciły wejrzenia.

Gniewnie odwrócił się Meineck od żony, zażawionem okiem szukając ukochanej swej Stelli. Coż ją to mogło obchodzić, a jednak i na niej zrobiła wrażenie ta sprawa. — Poczem zastanawiała i kłopotowała się tem, że nietrzeźwy powrócił do domu? Czyż on był jedynym człowiekiem, który się czegoś podobnego dopuścił? — Czy i ona za to odwróci się od niego?

— Dla czego nie nie jesz? czyś chora? zapytał ją szorstkim głosem. Poczem skinął na służącego i nałożył jej pełen talerz. Wzięła nóż i widelec do ręki, ale nie przełknąć nie mogła; łzy spływały na talerz po świeżych, okrągłych polieczkach — on udał, że tego nie widzi.

Po skończonym obiedzie, po odejściu żony i córek, siedział sam przy niestaranie nakrytym stole, z głową opartą na rękę, bębniąc palcami jakąś melodyą. Zastanawiał się biedak nad zmarnowanym swem życiem, kiedy nagle dwoje małych rączek objęło go za szyję; uczył gorące pocałunki na pobludnej twarzy. Odwrócił się zdziwiony — to była Stella z pełnemi łez oczyma. Wziął na kolana ukochane swe dziecię i wzruszony całował jej główkę, szyjkę, nawet rączki, nie wstydząc się wcale wobec dziecka pokazać gorących łez, spływających po męskiej jego twarzy na złote włoski dziecka. Ta chwila na zawsze wryła się w ich serca i pamięć.

Doszło w końcu do tego, że małżeństwo, widząc, iż dłuższe ich z sobą pożycie byłoby wprost niemożliwym,

rozwiódło się dobrowolnie. Dzieci pozostały przy matce; on nie śmiał nawet protestować przeciw temu, bo przy sądowym rozwodzie, gdyby ich dobrowolnie oddać nie zechciał, przyznano by je matce bez kwestyi. Z żoną rozstawał się bez żalu, ale gdy na pożegnanie całował złotą główką ukochanej swej Stelli, serce mu z bólu ścisnęło się w piersi. — Jako dowód łaski, otrzymał od żony skąpe pozwolenie przepędzania z rodziną dwóch tygodni w roku, a z listów wiedział o miejscu ich pobytu.

I tak się rozeszli znużeni życiem, nie robiąc sobie żadnych nadziei na przyszłość; baronowa natychmiast wyjechała do Florencyi, aby urzeczywistnić swe marzenie i zebrać notatki do dzieła o Medyceuszach, którego jednakże nigdy nie napisała.

Na wiosnę zjechali się oboje w Meranie. Położenie jego w jej domu było prawie nie do zniesienia; był swoim, a jednak czuł się zupełnie obcym wobec chłodnego postępowania żony, wobec onieśmielenia córek; nawet Stella nie była już doń tak przywiązana, jak się przynajmniej uniechędonemu biedakowi zdawało. Nie czekając końca dwutygodniowego pozwolenia, opuścił dom żony i od tego czasu nigdy już nie przyjechał; nie starał się nawet widzieć się z niemi, ograniczając się na pisywaniu długich, serdecznych listów do córek i obdarzając je kosztownymi podarunkami.

Lata mijaly; Meineck, służąc ciągle jeszcze w wojsku, otrzymał stopień majora. Żona jego w tym czasie podróżowała wszczęd i wzdłuż po Europie, od Madrytu do Konstantynopola, zbierając notatki do rozmaitych dzieł historycznych, mających kiedyś się ukazać.

Finansowe jej zasoby prędko się tym sposobem wyczerpały. Obecnie, chcąc się ograniczyć w wydatkach, a zarazem rozpocząć unieśmiertelnić ją mające dzieło, przeniosła się na mieszkanie do starego młyna w Calow.

„Rola kobiety w rozwoju historii powszechnej“ — taki tytuł miała nosić literacka rozprawa, którą sobie za zadanie życia obrała.

Starsza córka baronowej, która szczególniejszym sposobem teraz się z matką zupełnie zgodzić nie mogła, prze-

niosła się do Pragi, aby, umieściwszy się w najętym, cianym pokoiku, przygotować się do zdania nauczycielskiego egzaminu.

Biedna Stella pozostała sama przy matce. Ładny ośmnastoletni podłotek jeździł trzy razy tygodniowo do Pragi na lekcje śpiewu; czytała przytem, co jej wpadło w ręce, począwszy od „Raju utraconego“ do „Człowieka na księżycu“ i zwiedzała okolicę w towarzystwie białego, dzikiego, owczarskiego kundla.

W początku listopada, kiedy okolica cała leżała pod śniegiem, nadszedł z Wenecyi list do baronowej córce, pisany ręką Franciszka Meinecka. Z powodu dokuczliwego kataru w płucach, którego pozbyć się nie mógł, lekarze kazali mu spędzić zimę w cieplejszym klimacie, pod włoskim niebem; od miesiąca bawił już w Wenecyi i teraz pisał do żony z prośbą, aby córkom przyjechać pozwoliła do Wenecyi, za co on ze swej strony dołoży starania, aby im pobyt uprzyjemnić.

Nie chcąc przerywać nauki, Franciszka oświadczyła stanowczo, że jechać nie może, ale równie stanowczą była Stella, natychmiast gotując się do drogi. Baronowa początkowo robiła skrupuły, że córka sama jechać nie może, i starała się o stosowną towarzyszkę podróży; Stella jednak oświadczyła matce, że wszelka opieka byłaby co najmniej zbytęcną; jeździła przecież sama do Pragi i chociaż droga do Wenecyi była trochę dłuższą, nie stanowiło to żadnej przeszkody, bo wszędzie są przecież damskie wagony.

Baronowa w końcu ustąpić musiała i upominając córkę, aby zbytęcznie swego pobytu nie przedłużała, obdarzyła ją na drogę: „Historią Wenecyi,“ zapominając zupełnie o zapasach żywności; na tem się skończyła troskliwa jej opieka i Stella, nieodprowadzona przez nikogo, sama kupiła sobie bilet, zapisała rzeczy, z lekkim sercem wsiadła do rozgrzanego przedziału i pociąg ruszył, unosząc ją zdala od Calow!

ROZDZIAŁ VI.

Jak się na zobaczenie z ojcem cieszyła, w jak jasnych barwach sobie to spotkanie wystawiała, kiedy przytulona do jego serca opowiadać będzie, jak za nim tęskniła, jak podczas częstych bezsennych nocy przypominała sobie najmniejsze okoliczności, z którymi ten ukochany ojciec jakakolwiek miał styczność. Nie przedstawiała go sobie tak, jak wyglądał przy ostatnim spotkaniu w Meranie, zestarzałego przed czasem, z ciemnymi obwódkami około oczu, ze zmarszczkami na twarzy, bladego, złamanego starca. W jej wyobraźni był to młody jeszcze mężczyzna, z pięknymi blond włosami, raz w błyszczącym od złota mundurze, częściej jeszcze w ciemno niebieskiej bluzie z kieszonkami na piersiach, a nigdy bez brzęku ostróg i długiej brzęczącej szabli. Widziała białe, starannie pielęgnowane ręce i czuła zapach tureckiego tytoniu, lub innej jakiej wonnej esencji, którą wszystkie jego rzeczy przesiąknięte były.

Dla niej był on zawsze tym młodym, świetnym oficerem, na którego przyjscie radośnie wyczekiwała, chowając się potem we fałdach jego płaszcza.

Z początku podróż strasznie jej się dłużyła; następnie opanowała ją dziwna jakaś nieśmiałość i obawa, a nerwowe drzenie przebiegło ją całą, kiedy wreszcie konduktor, odbierając bilety, zwrócił jej uwagę, że następna stacya to Wenecya, cel jej podróży. Nareszcie pociąg zatrzymał się, konduktor z traskiem otworzył drzwiczki przedziału. Stella, wysiadłszy z wagonu, z bijącym sercem rozglądała się dokoła, nie widząc w tłumie żadnej znajomej twarzy; nie, ojca jej nie było między rozlicznymi postaciami, stojącymi na peronie; zapewne nie otrzymał jej telegramu. Naraz uwagę jej zwrócił siwowłosy, po cywilnemu nbrany mężczyzna, z wynędzniałą od choroby twarzą, z arystokratycznymi rysami i dużemi zapadłemi oczyma, którymi z zajęciem kogoś upatrywał w tłumie. Dziwny ból ścisnął jej serce i jej oczy spotkały się z jego wzrokiem. Jeżeli w wspomnieniach swoich widziała tego świetnego, młodego oficera, to i on ze swej strony wystawiał ją sobie małą,

jedenastoletnią dziewczynką, z gładko podciągniętymi pończoszkami, w krótkiej sukience; pamiętał ją, jako małą istotkę, którą można było brać na kolana i obsypywać pieśczętami. Ale ta córka, która w tej chwili przed nim stała, była młoda, dorosłą panną, która go osądzić mogła, a której zdania, jak u dziecka, pieśczętą zmienił nie było można. Przykre myśli opanowały go w chwili powitania; pytał sam siebie ze drzeniem, czy córka zna wszystkie szczegóły jego życia i czy będzie mu w stanie przebaczyć w imię dziecięcej miłości, większej, niż wszystkie ludzkie przesady!... biedak zapomniał, że kobieta kocha jąca wszystko wybaczyć jest w stanie, czy to ojcu, czy bratu, czy... ukochanemu, z wyjątkiem tchórzliwości i braku ambicyi, a w sprawach honorowych i największy nieprzyjaciel pułkownika Meinecka nie miałby mu nic do zarzucenia.

— Ojcie! Stello! I zamiast serdecznego uścisku, ucałował obiedwie jej ręce. Coż porabiacie? zapytał zmieszany, czy matka i Francy zdrowe? —

— O! tak, Bogu dzięki. Mam ci od nich dużo do powiedzenia. Francy, niestety! nie mogła mi towarzyszyć, nie chcąc przerywać nauki. —

Onieśmienie jego zwiększało się; jak wprawnie mówiła po niemiecku!.. czyżby już niczem tej jego dawnej Stelli przypomnieć nie miała?

— Gdzie twoja służąca? zapytał krótko.

— Służąca? — nie wożę jej z sobą; zresztą już dawno obywamy się bez jej pomocy.

— I tyś sama odbyła tę daleką podróż? zapytał przerażony — zupełnie sama?

— Tak jest; ty, ojcie, nie wystawiasz sobie wcale, jak jestem praktyczną i niezależną. Pułkownik zmarszczył czoło z niezadowoleniem; byłby wolał mieć córkę mniej praktyczną i więcej zależną. Zamyślony trochę z roztargnieniem odpowiadał na jej pytania; a odebrawszy kartkę od rzeczy, oddał ją służącemu z hotelu Britannia i podał ramię córce; wsiedli do czekającej u brzegu gondoli.

Przybwszy do hotelu, za pomocą elewatora dostali się na trzecie piętro i w czasie całej tej przehrawy zaledwie kilka obojętnych wyrazów ze sobą zamienili. —

Z okien małego, ładnego saloniku, do którego pułkownik wprowadził córkę, rozciągał się wspaniały widok na *canale grande* i na kościół *Santa Maria della Salute*, stojący na Lido. Pokój był ogrzany i na środku stał elegancy nakryty stół, na którym obok samowaru błyszczący w promieniach zachodzącego słońca srebrne nakrycia, dwie butelki Bordeaux i złotawego Marsala, rzucając podłużne cienie na białą serwetę stołu.

— Och! jak tu przyjemnie, zawołała Stella z błyszczącymi oczyma, a na smągłej twarzyczce pokazały się w uśmiechu dwa dołeczki, których pułkownik dotąd upatrywał napróżno. —

— Kazałem ci przygotować śniadanie, bo zapewne w drodze nie porządnie dostać nie mogłaś? —

— Przez całą drogę żywiłam się bułkami, odparła z uśmiechem, nie śmiałam iść sama do restauracyi. —

— Czy tak? zawołał Meineck, pomagając jej w zdjęciu długiego, brunatnego płaszcza, nie jesteś więc jeszcze tak emancypowaną, jak sądziłem. Jeżeli się nie mylę, dodał, oglądając uważnie ciężkie podróżne okrycie, jest to mój stary, oficerski jeszcze płaszcz. —

— Tak jest, ojcie, odparła z dumą, jest to jeden z tych znoszonych płaszczy; dałam go do przerobienia naszemu krawcowi w Calow, ponieważ przypomina mi te dawne, dobre czasy. I to wszystko, co wypowiedzieć była zdolna, zamiast wszystkich czułości i przyjemnych wspomnień, na które się całą drogę cieszyła. —

— Bardzo dobrze go przerobił; czy ci się nie podoba? zapytała z figlarnym uśmiechem.

— Prawdę powiedziawszy — nie bardzo — była odpowiedź, ale w każdym razie jestem mu mocno zobowiązana; dał mi bowiem dowód, że moja córka w najbrzydszym krawieckim dziele, któreby oszpeciło każdą inną istotę,

jest zawsze jeszcze zachwycającą. Pozwolisz przecież, żebym ci się przyjrzał troszeczkę, mówił, kładąc rękę na jej ramieniu, zawsze jeszcze nieśmiało. —

Jej zdało się, że ciepła jakaś fala wypłynęła jej z serca i ogrzała ją całą. —

— Nie przypatruj mi się, ojcze, tylko mię kochaj, zawołała, obejmując go za szyję i przyciskając do piersi: nie wystawiasz sobie wcale, jak się na zobaczenie z tobą cieszyłam.

Biedny, zwątpiały grzesznik pochylił zmęczoną i skołataną głowę nad złotymi włosami dziecka, wyznając w pokorze, że niegodzien tego szczęścia, tej łaski Boga.

Było to pod wieczór;ienne światło ustąpić musiało polyskowi czerwonych latarni, stojących na ulicy przed starymi pałacami, a odbłysek ich migotliwie odbijał się na poruszanych uderzeniami wioseł falach.

— Napisz kilka słów do matki, kochanko, odezwał się pułkownik, zapalając światło w małym saloniku, podziękuj jej w moim imieniu, że ci tu przyjechać pozwoliła, dodał, stawiając przed Stellą kałamarz i kładąc papier listowy na stole.

I podczas, kiedy Stella zabrała się do pisania listu, pułkownik zadumał się głęboko z głową opartą na rękę. —

— Zdaje mi się, że wy teraz skromnie bardzo żyjecie, zapytał ją nagle. Czy nie wiesz, jak stoją finanse matki?

— Złe! odparła Stella lakonicznie.

— Hm! nie znam się na tem, ile kosztuje wychowanie dwóch dziewcząt; może matka tem nie wystarczy, co jej na was posęłam. W takim razie powinna mi była napisać, bo nie znuosę, żeby moje dzieci jakikolwiek brak uczuć miały, jak to.....

— Jak to wnosić można z mojej skromnej i podniszczonej garderoby, zaśmiała się Stella. No, tak źle jeszcze z nami nie jest; kiedy chodzi o kupno książki, lub rzadkiego jakiego wydania, zawsze się znajdują pieniądze — ale na nową parę bucików nigdy ich nie ma!

Pułkownik niespokojnie gładził brodę.

— Proszę cię, napisz do Francji, czy czasem nie potrzebuje pieniędzy — zaczął na nowo.

Ja sam wprawdzie żyję z kapitału, ale ze mną się już długo pociągnąć nie może; zresztą wasza część jest zabezpieczona. —

Z początku nie zrozumiała znaczenia słów jego; patrzyła na ojca dużemi, zdziwionemi oczyma, ale nagle smutne przypuszczenie zrodziło się w jej umyśle; pióro wypadło jej z ręki i gwałtownem wybuchła łkaniem.

— Uspokój się, kochane dziecko, i nie martw przedwcześnie; może też sobie gorzej wystawiam, niż jest rzeczywiście, uspokajał ją, pochylając się nad nią troskliwie i patrząc z uwagą w duże, ciemne jej oczy.

— Jeżeli promień słońca może uzdrowić człowieka, to ja napewno uleczonym będę — dodał, głaszcząc delikatną jej twarzyczkę.

Niestety! ten promyk słońca ukazał się za późno — za późno!... Utraconych sił nie mógł już odzyskać, nie mógł uzdrowić chorych płuc, ale za to serce jego i duszę uleczyła obecność ukochanego dziecka. Oprócz pierwszych lat swego małżeńskiego pożycia, nigdy się nie czuł więcej swobodnym i szczęśliwym, chociaż rzadko zapominał, że stoi nad otwartym grobem, w którym lada chwila zwłoki jego spocząć mogły.

Pewnego razu, w czasie swego pobytu w Wiedniu, podczas tych wilgotnych nocy listopadowych, wracając do domu, spotkał na przedmieściu pijanego człowieka, który chwiejąc się i opierając o mury kamienicy, nie mógł trafić do domu. W chwili, kiedy policyant miał go uchwycić i zabrać do aresztu, przystąpiła doń mała dziewczynka, odziana nędznie, z bladą, nad wiek poważną twarzyczką. Uchwyciła nabrzmiąłą i siną od zimna dłoń pijaka swemi chudemi, drobnemi rączkami. Ojcze, chodź do domu, odezwała się ochryplym, zmęczonym głosikiem, w którym przebiegała stanowczość, jednakże bez cienia szorstkości — i

pijany ten człowiek, co nie zważał na napomnienia policyanta, ani na wołanie przechodniów, spuścił głowę i w milczeniu, bez najmniejszego oporu poszedł za słabą, bezsilną istotą. Pułkownik patrzył za nimi, dopóki nie znikli w cieniu wąskiej jakiejś uliczki; i do dzisiejszego dnia pozostała mu w pamięci ta mała dziewczynka z długim, cienkim, płowym warkoczem, z wychudłą twarzyczką, odziana nędznie w czarną, czerwonym przerabianą chustką i te zsiniałe od mrozu, gołe nóżki w obszernych podartych trzewikach, które jej chód utrudniały. Mały ten wypadek przykre nań zrobił wrażenie; później zapomniał o tem. Teraz wspomnienie to na nowo odżyło mu w pamięci, a zbliżając się szybkim krokiem przy boku córki do grobu, porównywał się skrycie z tamtym pijakiem, którego dziecko za rękę prowadziło do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czem jest modlitwa.

Modlić się znaczy o najwyższe prosić,
Modlić się jest to zniżać się, by wznosić,
Jest to najczystsza miłością zapłonąć,
I duszą w Bogu zatonać.

Modlić się jest to w ciężkim życia boju
Walczyć — i w walce dobić się pokoju;
Jest to po ziemskich boleściach i ciosach
Wytchnąć i spocząć w niebiosach.

Modlić się znaczy z ufnością dziecięcą
Ojeu się swemu z ciężkiej zwierzać winy;
Modlić się dzienną, modlić ranną dobą
Jest to wciąż czuwać nad sobą.

Nie się modlitwy nie oprze potędze!...
Przebaczając jednak, kochać, wspierać nędzę,
Nie dać bliźniemu grzechem się upodlić
Jest to najświęciej się modlić!

M.

KILKA SŁÓW

o tegoczesnych stosunkach społecznych

podług rozprawy Maxa Nordau

napisała

E. z K. P.

(Dokończenie.)

Najgłówniejszym popędem każdej organicznej istoty od nomady aż do słońca, od dębu aż do lichej trawki, jest poszukiwanie stosownego dla siebie pożywienia. Jeśli go nie znajdzie, marnieje. Jest to prawo przyrody, którem człowiek rządzi się tak samo, jak każda inna żyjąca istota. Człowiek w stanie natury nie poddaje się biedzie. Gdy ktoś inny chce mu wydzierać pożywienie, chwytą za broń i zabija, lub zostaje zabitym. Tak to powstały owe średnio-wieczne gminoruchy, stąd powstało bohaterstwo Attyli, Dżengishana, Wilhelma Zdobywcy i t. d. Słowem człowiek w stanie natury nie znosi prawdziwego ubóstwa, to jest głodu.

Nawet przy niższym stopniu cywilizacji, która nie doszła jeszcze do stanu fizyokracji, jest całkowite ubóstwo niemożliwym. Dopokąd naród zajmuje się tylko rolnictwem, hodowlą bydła i przemysłem domowym, choć nie posiada drogich, kruszcowych wyrobów, żadna jednostka nie cierpi tam głodu. Dopiero gdy człowiek usuwa się od karniającej go matki - ziemi, opuszcza glebę, która go darzy chlebem, owocami, mlekiem i mięsem zwierząt domowych, zwierzyną i rybami, zamyka się poza murami miast wielkich i nie chce wydobywać własnymi rękoma pożywienia z obfitej spiżarni przyrody, a spuszcza się na wymianę płodów ziemi, na swój przemysł, wtenczas dopiero rozpoczyna się dla małej części ludzi zgromadzenie bogactw, a dla całej klasy ludności roboczej prawdziwe ubóstwo — nędza. Naród, z wolnych rolników się składający, nie zubożeje nigdy. Wtenczas dopiero, gdy właścianin zmuszony jest do poddaństwa i plon jego zabiera pan dla siebie, gdy mnożą się wielkie miasta i wielkie masy ludności w sobie pochłaniają, wtenczas dopiero ten wysoki stopień cywilizacji skazuje większą część ludności na całkowite ubóstwo, bo miasta wznoszą się na koszt ludności wiejskiej, rozwijając przemysł na koszt produkcji pól ziemskich, i tworząc przytem proletaryat, nieposiadający ani piędzi ziemi, skazany jedynie na zarobek w fabrykach i warsztatach, z których gdy zostanie wydalony, umierać musi z głodu.

Do tego stanowiska doszły już wszystkie kraje zachodniej Europy, które właśnie za najbogatsze i za najbardziej ucywilizowane uchodzą.

Ich ludność dzieli się na małą część bogaczy, którzy, tonąc w rozkoszach życia zbytkownego i hałaśliwego, wzbudzają podziwienie i zazdrość w sąsiednich narodach i na ogromne masy ludu, które w najcięższej pracy szukać muszą pożywienia, a nieraz jeszcze pomimo wszelkich wysiłków pracy znaleźć nie mogą.

Ta mniejszość staje się coraz bogatszą w miarę, jak większość klasy roboczej ubożeje; jej wpływ i znaczenie wzmagają się nieomal z dniem każdym.

Gdy się mówi o szalonych wybrykach i zbytkach tegoczesnych milionerów, to niektórzy pisarze, przybierając poważne miny, przytaczają dawnych Rzymian, twierdząc, że w naszych czasach nie się takiego nie dzieje, jak w Rzymie za czasów cesarzy, cytują także średnie wieki, twierdząc, że po wszystkie czasy był równy stosunek pomiędzy bogactwem a ubóstwem. Lecz mylą się bezwiednie, lub rozmyślnie. Takich majątków, jakie posiada tegoześnie Wunderbil, baron Hirsch, Rotszyld, Krupp i t. d., liczących przeszło 400 milionów m., nikt w średnich wiekach nie posiadał. W czasach starożytnych może jaki ulubieniec despoty, jaki satrapa, zrabowawszy zawojowany kraj, lub prowincją, nagromadził może takie bogactwa, ale one niedługo w jego ręku pozostawały. Z tego krótkiego snu złotego zbudziło go zwykle żelazo mordercy, lub wydarła mu je przemoc. Aby takie ogromne bogactwa przechodziły z ojca na syna, choć przez kilka pokoleń, aby właściciele tychże w spokoju używać ich mogli, o tem nie wspominają bynajmniej dziejopisarze rzymscy. W każdym razie byli milionerzy i miliardziści w dawnych czasach czemś daleko rzadszem, niż w dzisiajszych, gdzie liczba ludzi prywatnych, posiadających przeszło dziesięć milionów majątku, w samej Anglii na przeszło tysiąc się liczy, a w całej Europie — nie licząc innych części świata — sto tysięcy takich bogaczy istnieje.

Przeciwnie, w żadnych czasach nie było takich mas ludzi całkiem ubogich, którzy nie wiedzą z rana, czem się pożywią w ciągu dnia, i gdzie noc spędzić będą mogli. Niewolnik w starożytności, poddany w czasach średniowiecznych nie posiadał nic wprawdzie i był sam cudzą własnością, lecz o jego potrzeby fizyczne dbali w własnym interesie jego właściciele. W czasach średniowiecznych byli tylko ludzie nieuczciwi, włóczęgi, oszusty, cyganie, pozbawieni wszelkiej opieki, lecz oni pomagali sobie żebranią, kradzieżą, rabunkiem, a choć ich to zwykle na

szubienię doprowadzało, nie zaznali za życia głodu, tej najstraszliwszej plagi ludzkości. Z dzisiajszym proletaryatem miast wielkich jest stokroć gorzej. Jest on daleko nędźniejszym od niewolnika w starożytności, bo jemu służy jego wolność tylko do umierania z głodu; jest także w dość gorszym położeniu, niż owi biedacy średniowieczni, bo tegoczesna policja strzeże go na każdym kroku i za każdy ukradziony bochenek chleba dla umierających z głodu dzieci srogie mu wymierza kary.

Bogacze są zatem bogatsi, ubodzy ubożsi, niż byli kiedykolwiek. A przytem zuchwała pycha bogaczy przechodzi wszelkie granice przyzwoitości, olśniewając świat, a drażniąc boleśnie ubogich. Dziejopisarze wspominają ciągle o ucztach Lukulusowych, lecz niech nam kto dowiedzie, że w Rzymie dano kiedy ucztę, któraby 400,000 m. kosztowała, jak ów bal, który przeszłej zimy wydał pewien bogaty fabrykant w New-Yorku.

Człowiek prywatny w Rzymie, który swoich gości częstował pasztetem z języków słowicznych, lub swej zalotnicy kilka tysięcy sestertiów darował, był taką osobliwością, że jego historią pisano. Dziś nie mówi nikt o tych serwisach porcelany japońskiej, kupowanych za 200,000 m., lub o zakładach krociowych na wyścigach konnych, lub o tem, że istnieją zalotnice bogaczy, którym wolno na stroje, brylanty i ekwipaże wydawać rocznie dwa miliony. W czasach starożytnych i średniowiecznych wstydzono się niejako zbytków i ukrywano się z niemi w prywatnych domach. Lud wydziedziczony nie z tego nie widział. Dzisiajsi bogacze rozpościerają się ze zbytkami swemi po ulicach, promenadach, teatrach, na wyścigach konnych i miejscach kąpielowych. Ich kosztowne ekwipaże obryzgują błotem bosych, zgłodniałych przechodniów, ich brylanty olśniewają oczy tych, którzy nie mają czem okryć się od zimna. A dzienniki i czasopisma głoszą o tych strasznych zbytkach tym, którzy ich na własne oczy widzieć nie mogą. Przez to w umyśle dzisiajszego proletaryusza budzi się mimowoli porównanie, którego dawniejszy proletaryusz nie znał wcale. Trwonienie milionów jest dla niego miarą własnej nędzy, a ubóstwo jest właściwie wtenczas dopiero najdotkliwszym, gdy się je obiektywnie odczuwa, dla tego milionerzy przez nierozsądne rozpościeranie się z swem bogactwem i życiem próżniaczem utrudniają tylko życie ubogim i budzą w nich zazdrość i wstręt, które bardziej jeszcze, niż materyalne ubóstwo, dusze ich rozgoryczają.

Dzisiajszy proletaryusz w krajach wysoko ucywilizowanych żyją w warunkach gorszych, niż dzikie zwierzęta na pustyni. Pomieszkania ubogich w wielkich miastach są daleko brudniejsze i niezdrowsze, niż jamy zwierząt drapieżnych. Od zimna mniej oni uchronić się mogą, niż one. Ich pożywienie wystarcza zaledwo do uchronienia ich od śmierci głodowej, chociaż i ta zdarza się codziennie w świątyniach stolicach tegoczesnych.

Filantropi tegoześnie prawią nam, że podwyższona cena za pracę może robotnika od wszelkiego niedostatku uchronić. Lecz coż mają począć ci, którzy w ogóle pracy znaleźć nie mogą? A zresztą w całej zachodniej Europie robotnik nie może zapracować tyle, aby mógł odłożyć sobie jaki zasób na nieprzewidziane wypadki choroby, lub bezrobocia. Jest więc często przez długi czas skazany na żebranię i miłosierdzie publiczne.

Statystyka wskazuje nam, że przecięciowa długość życia robotnika jest o trzecią część, często nawet o połowę krótszą, niż ludzi, w dostatki opływających, z tego samego narodu i w tych samych warunkach klimatycznych żyjących. A coż to wydziera życie ubogiemu, do którego ma prawo, jako syn tej samej rasy, jako mieszkaniec tej samej gleby?... Otoż nic innego, jak praca, głód i niedostatek, które zwolna jego organizm podkopują.

Obraz tych smutnych tegoczesnych stosunków społecznych nie byłby kompletnym, gdybyśmy tu obok milionerów i proletaryuszów nie wspomnieli jeszcze o jednej klasie wydziedziczonej, która w tegoczesnym urządzeniu ekonomicznym jest prawie na równe cierpienia skazana,

jak robotnicy miast wielkich. Są to ci ludzie z wyższym wykształceniem, którzy bez żadnych zasobów majątkowych przez pracę mozolną nabyli wiedzy i mają prawo do zajmowania miejsc wyższych w społeczeństwie. Liczba tych osób wzrasta w sposób zastraszający. Tak zwane zawody liberalne są wszędzie tak przepelnione, że ci, którzy na nie wstępują, tłoczą jedni drugich i walka o byt rozpoczyna się tu w kształtach najgroźniejszych.

Ci ludzie wykształceni, uczeni, aspirujący do zawodów nauczycieli, artystów, literatów, lekarzy, adwokatów, inżynierów, przy większym rozwoju inteligencji uczą się z tym większą goryczą swą niedolę i upokorzenia, bo ich bliższe obcowanie z bogaczami stawia im ciągle przed oczyma różnicę pomiędzy bogactwem, częstokroć obok największej ignorancji, a ubóstwem, przy zasobie wiedzy, przez co cierpią może srożej jeszcze, niż umierający z głodu proletaryusz.

Z piśmiennictwa francuzkiego.

Georges Ohnet. Volonté. Paris 1888.

Nie bez podstawy nazywają nas „Francuzami północy”, gdyż, pomijawszy wszystko inne, już samo zajęcie się płodami literatury francuzkiej usprawiedliwia tę nazwę. Każdy nowy romans autorów, którzy umieli sobie zasłużyć, lub niezasłużony rozgłos, w mgnieniu oka nieomal rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy nie tylko nad Sekwaną, ale i u nas, w owej „północnej Francji.”

I tak między innymi „Volonté”, ostatni utwór, jaki wyszedł z pod pióra Ohnet’a, owego ulubieńca budoarów, choć dopiero w tym roku ujrzał światło dzienne, rozszedł się już w trzydziestu kilku tysiącach egzemplarzy. Ohnet nie idzie tu w ślady mistrza idealistycznej powieści, Feuilleta, który uwieczoną głowę pod koniec życia swego schylił także przed zwycięzko postępującym naprzód realizmem, robiąc na korzyść tegoż w swej ostatniej powieści pewne ustępstwa. Autor „Maître de forges”, ufny w swą gwiazdę i w „Volonté” pozostał sobą, powierzchownym, goniącym za efektem, eleganckim, lekkim powieściopisarzem — budoaru. W „Volonté” nagromadził on długi szereg scen i zajmujących sytuacji, które niezawodnie korzystnie wpływają na liczbę czytających i na kieszeń autora.

Przypatrzmy się bliżej osobom tej powieści. Główną bohaterką jest Helena; jej „silna wola” ma dokazać wielkich rzeczy. Ale w czemże widzimy u niej tę silną wolę i jakież są jej rezultaty? Nielatwo na to odpowiedzieć. Czy w tem może, że pani Héroult przygarnęła ją do siebie i uważała za córkę, czy w tem, że wyszła za Ludwika i była dobrą żoną? — Nie. Pierwsze zawdzięcza li tylko okolicznościom, drugie pięknej twarzy, trzecie dobrym skłonnościom i temperamentowi. Czogoż dokazała jej silna wola? Że umiała opanować słabego męża? Że umiała mu przez rok zastąpić brukowe miłości? Ani jedno, ani drugie nie jest przy pięknej twarzy objawem silnej woli. Natomiast gdzież znika jej potężny (jak ma być) wpływ na męża, gdy Ludwik pierwszy raz po roku spotyka się z Dyana? Ani śladu tego wpływu; Ludwik obcesowo zakochuje się w pięknej Angielce i zapomina o Helenie i dziecku. Autor tłumaczy to tem, że Helena karmi dziecko. Gdy traci urok swój kobiecy, a jej wdzięki przestają działać na męża, ginie też cały jej wpływ na niego. Gdzież silna wola? Jedyna sposobność do okazania tej silnej woli nadarza jej się, gdy Ludwik, zakochany w Dyanie, rujnuje majątek. Helena, wyposażona przez autora wszelkimi możliwymi zaletami i cnotami, rozumem, charakterem, nawet wykształceniem, (które odebrała niezawodnie w szwalni, pracując na chleb?) choruje, przekonawszy się o zdradzie męża i w ciągu całego stosunku Ludwika z Dyana nie umie zdobyć się na czyn. Albo czy jest zgodne z jej charakterem apatyczne zachowanie się na wiadomość o groźnem

położeniu majątkowem? Mimo, że dawniej żywo i ze zrozumieniem zajmowała się interesami męża, nie staje przecież w obronie majątku syna, ale odpowiada ze spokojem osoby niewiedzącej o postępowaniu męża: „il a le droit d'agir, comme il lui plaît. Il est maître de cet argent.” Słowa jej mają wzbudzić w czytelniku tem większy dla niej szacunek, postawić ją na piedestalu kobiecej doskonałości. Ale ten olimpijski spokój nie jest na miejscu, zwłaszcza w bohaterce silnej woli. Wiara zaś, jaką daje biletowi wzywającemu ją do Thauriat’a, samo pojechanie do jego mieszkania nie okazuje w niczem silnej woli i nie przynosi wcale zaszczytu jej rozumowi. Wątpić przecież nie może, że Dyana tylko jest ową osobą, z którą Ludwik chce wyjechać do Włoch — a zresztą tyle jest innych sposobów przekonania się, czy Ludwik znajduje się w mieszkaniu przyjaciela. Kiedy zresztą, wszedłszy do mieszkania pana de Thauriat, nie zastaje tam męża, dla czegoż wdaje się z nim w niepotrzebną rozmowę? Jedynie dla tego, aby Ohnet mógł opisać burzliwą scenę wybuchu namiętności i pogrzebać Thauriat’a.

Jedno złe pociąga drugie za sobą i gorzej jeszcze, że charaktery na rozkaz autora zmieniają się, jak obrazki w kalejdoskopie.

Stąd wszystkie dodatnie strony postaci Ohnet’a tracą na wartości, w niwecz się obracają, a że jego ludzie są albo nazbyt źli, albo nazbyt dobrzy, przestają więc być ludźmi i pozostają tylko w pewne sytuacje wciśniętymi figurkami. Tak się rzeczy mają nawet z Klemensem de Thauriat, któremu autor *par force* sili się nadać pewne ludzkie ułomności. Thauriat jest obok Emilii najwięcej zajmującą postacią. Coż, kiedy i on nie pozostaje sobie wierny, tylko różno przechodzi fazy! Przebolał już, że Ludwik poślubił Helenę, jest przyjacielem domu i jako taki, idąc za własnym popędem, zwraca uwagę Ludwika na grożące mu niebezpieczeństwo ze strony pana Lereboulley. Wkrótce potem ten sam Thauriat, mimo prośb Emilii, wzbrania się ocalić przyjaciela. Czemże mamy wytłomaczyć sobie tę nagłą zmianę?... Najkorzystniej dla Thauriat’a usposabia czytelnika śmierć jego, którą autor kunsztownie sprowadza. Dziwnie jednakowoż brzmi w jego ostatnim liście zapewnienie, że polegnie z ręki Ludwika, sam raniwszy go poprzednio w ramie. Zbyttna pewność!

Jedynie postać Emilii konsekwentnie jest przeprowadzoną. Inne osoby to ponazywane szablony. Dyana, kochanka senatora, musi być uosobieniem złego. Senator i giełdziarz Lereboulley musi być również złym ojcem, samolubem, poniżającym się wobec kochanki. Tak nakazuje maniera idealistów. Stara pani Héroult jest sympatyczną postacią, szkoda tylko, że bardzo słabo i dorywczo narysowaną. Ludwik, o którego słabości charakteru zapewnia nas ciągle autor, umie, gdy chce, wyemancypować się bardzo szybko z pod miłego pantoła żony, śmie rzucić się w wir interesów giełdowych i żyć bez opiekuńczego przyjaciela. Coż tedy przy mnóstwie bijących w oczy niekonsekwencji, przy mnóstwie naciąganych sytuacji, przy szablonowych, zużytych postaciach, przy kunsztownie wsuniętych opisach, n. p. Morawii i Grecji, przy niedostatecznie wyjaśnionem położeniu materialnem rodziny Héroult zyskuje tej powieści takie zastępy czytelników? Otoż jeszcze ciągle wariacje na temat niewierności małżeńskiej i dramatyczne sceny i sytuacje już to lekko, z wdziękiem, już też słabo i blade narysowane. Na niewiele tylko nowych sytuacji umieją zdobyć się autorowie tej szkoły, bo, jak słusznie twierdzi znany krytyk, pan Waliszewski, doszli do tego, że nie tylko odpisują z innych, ale nawet ze swoich własnych, dawniejszych utworów. To fałszywe przedstawienie życia, ten kunszt, nienaturalność, powierzchowność — to główny powab powieści, a że Ohnet „Volonté” w tem wszystkim nie stoi poza innymi utworami jego, a zatem ma i mieć będzie powodzenie, aż nie zniknie, jak fajerwerk. Nie badaj więc, czytelniku, nie analizuj, bo znajdziesz deceptycją i jedno wielkie — nihil.

Maciej W.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 10.)

Pokarm sztuczny, mający zastąpić niemowlęciu pierś matki, powinien być płynny, odpowiednio ciepły i w składnikach swych chemicznych do mleka matczyngo jak najwięcej zbliżony. Bacząc na doniosłą ową sprawę, że niemowlę pokarm z piersi matki, bez dodatków i domieszek, wprost do ust swych przyjmuje i że tenże na wpływ powietrza, ani na działanie nieprzyjaznych mu czynników nie jest wystawionym, powinien i pokarm sztuczny chronionym być, ile się da, jak najsumienniej od tychże czynników, które tak łatwo do naczyń, buteleczek, rurek itd., przy sztucznem karmieniu niezbędnych, dostać się mogą. Sztuczny pokarm już przez samo pozostawianie w jakimkolwiek naczyniu przez czas dłuższy popsuc się i rozłożyć może. I ciepło, właściwe pokarmowi matki, zbliżone do ciepłoty krwi jej i dziecięcia, wielkiej jest wagi, co przy sztucznym pokarmie, za gorąco, lub za zimno podawanym, na niemowlę niekorzystnie oddziaływać musi.

Zastępcą głównym mleka białogłowiego jest i pozostanie mleko krowie. Ono stanowi ten niejako „stworzony“ na ten cel materyał i jest też w ogólności jedynym, zupełnym, wybranem, a stosunkowo najtańszem i najprzystępniejszem pożywieniem. Składem swym chemicznym zaś do mleka kobiet najwięcej zbliżonem jest mleko oślicy. Dr. Förster z Drezna przemawiał na zjeździe lekarzy i przyrodników w Salzburgu, 1881 roku odbytym, za mlekiem oślem. Holenderscy lekarze, Granitz w Amsterdamie i Misch w Rotterdamie, bardzo się przychylnie wyrażają o tem mleku. Wprawdzie jest ono droższe, aniżeli krowie (bo oślice, mało w ogóle mleka wydające, lepiej, niż zwykle, żywić trzeba i pracą męczyć ich nie wolno), lecz Holendrzy starają się o rozpowszechnienie onego, gdyż chcieliby tym sposobem, ile możności, ograniczyć używanie mamek.

Z tych samych pobudek polecał już dawniej Dr. Zwierlein z Brückenau *) jako najlepszą i najtańszą żywicielkę kozę, i radził, aby niemowlę wprost do jej wymion dołączano.

Równocześnie z pojawieniem się powyższej rady (1819 r.) nadeszły i wieści z Paryża, że tamże w domach podrzuktów na wielkie rozmiary karmienie niemowląt przez kozy zaprowadzono, który to sposób sztucznego żywienia następnie przecież zaniechanym został.

Dopiero w 1879 roku pojawiła się znowu rozprawa Dr. A. Boudard, **) omawiająca kwestyą karmienia niemowląt przez kozy białe, bezrożne, t. z. kaszmirskie (cachemirienne), odznaczające się niezwykłą łagodnością, przywiązaniem, a co ważniejszą, dobrocią mleka i to bezwonno i do mleka niewieściego bardzo zbliżonego.

Autor podnosi zalety i korzyści, tak dla niemowląt, jako i dla matek z tego sposobu sztucznego żywienia wynikające. Całe szeregi dzieci karmiono w ten sposób przez 11 miesięcy, lub przez rok cały. Jakiś pan Corbabon, na zamku Charmeil, w okolicy Vichy, kończył natenczas żywienie swego drugiego dziecka za pomocą kozy białej i podaje o niem: „cet enfant n'est pas simplement beau, il est superbe.“ Boudard radził przyłączenie niemowląt wprost do wymienia owego czystego i łagodnego zwierzątka i podał rycinę, przedstawiającą kozę i wygodnie ssającą niemowlę.

*) Dr. Zwierlein, Brunnenarzt in Brücknau. Die Ziege als beste und wohlfeilste Säugamme. I Theil 1816, II Theil 1819 in Stendal.

**) Guide pratique de la Chèvre-Nourrice au point de vue de l'allaitement des nouveaux-nés. Par A. Boudard, médecin et pharmacien etc. Troisième édition. Gannat 1879.

Kozy nasze nie stosują się na ten cel wcale, jak to słusznie twierdzi Dr. Kirsten, *) jużto, że mleko ich niestrawne i gęstsze, że zawiera więcej tłuszczu, niż mleko kobiece, wreszcie, że kozy te bronią się, aby nie dołączając niemowląt do ich wymion, a związane, zatrzymują sztucznie mleko i nie pozwalają niem nakarmić się wcale.

„Mleko krowie, stanowiące przeważne pożywienie dzieci i w ogólności jeden z najlepszych pokarmów, składa się z wody, tłuszczu, sernika (kazeinu), cukru mlecznego i ciał mineralnych (t. z. soli) w stosunkach ściśle nieokreślonych, a zależnych od paszy, wieku, zdrowia, utrzymania i sposobu życia zwierząt. Warunki powyższe wpływają wiele na wartość mleka, które szczególnie w miastach, z przyczyny znacznych zapotrzebowań i braku sumiennej kontroli, podlega licznym bardzo zafałszowaniom.“ **)

Mleko krowie różni się chemicznym swym składem od mleka kobiet znacznie.

I tak zawiera: ***)

	mleko krowy	mleko kobiety
wody	87,9 ⁰ / ₀	88,7 ⁰ / ₀
tłuszczu	4,0 ⁰ / ₀	3,3 ⁰ / ₀
sernika - białka	4,4 ⁰ / ₀	2,2 ⁰ / ₀
cukru	3,8 ⁰ / ₀	4—5,0 ⁰ / ₀
soli	0,6 ⁰ / ₀	0,25 ⁰ / ₀

Mleko krowy posiada zatem więcej białka-sernika, tłuszczu i soli, a mniej cukru, niż mleko niewieście.

*) Dr. E. F. Kirsten. Diätetik etc. Leipzig. 1867, str. 176.

**) Badania mleka i mleko warszawskie, podał A. Bukowski. Zdrowie. Nr. 1. Październik 1885.

***) Dr. A. Baginsky. Ueber Kindernahrungsmittel, cit. strona 94.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O WŁOSACH.

Przez Zofię A.

Zwracając uwagę na tę wielką ozdobę twej główki, nie myśl, piękna czytelniczko, do której tylko odnoszę me słowa, iż tu jakąś naukowo-medyczną kwestyą poruszyć zamierzam; nie pragnę badać środków, jakimi wiedza z przemysłem brakiem natury w pomoc przychodzą, nie sięgę się zliczyć tych tysięcy kosmetyków i farb, które sztuka farmaceutyczna w kurs puszcza, wydłużając grosze z łatwowiej publiczności, mam na myśli jedynie owe piękne, bogate sploty, te słynne, długie kosy jasne, kasztanowate, czarne i t. d. naszych modrookich rusałek, jaką są koroną wdzięków, jak ich artystycznie używać należy; jednem słowem estetyczną stroną włosów mam na względzie i kilka słów poświęcić jej pragnę.

Włos od dawien dawna był u człowieka wielką ozdobą; widzimy i dziś u wszystkich ludów i we wszystkich warstwach społeczeństwa dbałość i staranność o niego, poczawszy od eleganckiego „pschlutt'a“, gładzącego dwiema szczoteczka mi swą wiedeńską fryzurę, aż do biednego Kafra i Hottentota, wkręcającego z mozołem żęby dzikich zwierząt i odłamy muszli w welnistą swą czuprynę. Jednem słowem, względnie do stopnia cywilizacji, pretensya ludzka dziwnie pięścić się zdaje to pokrycie ciepłe, chroniące z troskliwością siedlisko myśli naszych. Uderza zaś wszędzie owa zabiegliwość i pieczołowitość głównie u kobiety — i słusznie, bo ją też natura dziwnie w tym względzie uprzywilejowała; krzywdząc na sile, zdrowiu, władzy, ozdobiła jej głowę tak hojnie, że już do tej pocziwej matki chyba żalu mieć nie powinna. Niezaprzeczenie, iż włos jest jedną z największych ozdób kobiety! — taki jedwabisty, długi, woniejący. Gdy spleciony i zręcznie upięty, jakimże pięknym wieńcem otacza twe czoło . . . ty się śmiejesz — nie wierzysz, młoda.

czytelniczko, a ja cię upewniam, że na owym balu, tak sercu twojemu pamiętnym, ani piękne, brylantowe kolczyki, co ci matka w uszka kładła, ani ta zręcznie zrobiona i przybrana sukienka nie zwróciły jego uwagi... nie, on patrzył na ciebie z zachwytem w oku, ścigał w lotnym tańcu i długo, długo towarzyszył, gdy już dawno wyfrunęłaś ze sali, tęszną myślą:

„Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
Co nad twem czołem połyska!...“

Posiadając zatem włos piękny — a posiada go bez wyjątku każda młodość, chyba że choroba, lub jaki inny nieszczęśliwy przypadek zmuszą ją chwycić się sztucznej pomocy — z całą umiętnością i smakiem tak nim trzeba kierować, żeby podniosła piękność właścicielki... jest to rama, otaczająca obraz, uwydatnić więc kobiety urodę powinien, i takie też zapewne natura dała mu przeznaczenie!

Zwracając się myślą w starożytne, przedchrześcijańskie czasy, już wtenczas uderza nas ta wytworność i gust widne w układzie kobiecego wlosa. Owe Estery i Judyty o kręconych zwojach, z brzęczącymi ozdobami ze złota, z jakimże przepychem głowy ubierały w zastosowaniu do tej urody wschodniej, wspaniałej, królewskiej. Przypatrzymy się Greczynkom z malowniczą fryzurą, która wieki przetrwała, tak skromną, a tak korzystnie odsłaniającą owe Fidyaszowego „luta profile; przypatrzymy się Rzymiankom w dyademach nad czołem, a wszędzie już wówczas podziwiać będziemy zmuszeni ten wydoskonalony zmysł tak właściwy tylko kobiecie, którym odgaduje ślepo, w czem jej pięknie, a co odrzucić wypada. I przebiegając tak na przedc całą historią wieków, mając do pomocy ryciny dokładne, dziwny nam się przedstawia widok tych rozlicznych upodobań i gustów — widzimy, jak każde stulecie miało swój odrębny sposób czesania wlosa, tak, że możnaby nieomal podług głów niewieścich śledzić owe gwałtowne zmiany i przewroty, owe szaly namiętności, które wstrząsały całemi państwami!

Spojrzyjmy najprzód na czasy zamierzchłej, skromnej prostoty, a wychyli nam się z ich pomroki najbliższa sercu, świetlana postać Wandy, „co nie chciała Niemca,“ z płaszczem wlosów i wieńcem paproci na skroniach, tak uroczą w swej skromnej niewinności — z drugiej strony z teutońskich borów ukazuje się muskularna, bladooka Germania z włosen gęstym i jasnym, jak fala złota, poruszana szumem niebotycznych jodłowych lasów. Ten właśnie rozpuszczony włos, sięgający mytycznych czasów, długo przechowywać się musiał, gdyż, dochodząc do początku wieków średnich, czasów owej rycerskości, gdzie cześć dla kobiety stawiła ją na piedestalu bogini, i w tych wiekach Trubadurów i Minnesängerów, w czasach, odznaczających się skromnością i czystością obyczajów, ciągle jeszcze u kobiety widzimy włos skromnie na ramiona spuszczone, choć powoli i tu pretensya zdaje się wkradać, to kręcąc się w pierścieniach nad czołem, to znów wijąc niżej w miękkie loczki i tak widocznie zwyczaj ten przenosił się do wszystkich państw Europy, gdyż w wiekach tych właśnie najświetniejsi malarze Madonny złotowłose z rozpuszczonym przedstawiali włosen. Zaczęto powoli splatać warkocze, chociaż — jak podanie niesie — warkocz miał być znanym już za Karola W. — córki jego podobno okręcały go złotemi sznurami — i nieodłącznie ciągle nam się odtąd ukazuje przez wszystkie wieki, dopóki w wieku XVII tak ośmieszonym nie został.

Zaczęto po tej zasługującej na uznanie skromności u kobiet piętrzyć powoli włosy coraz wyżej i wyżej — śmiech dziś budząc w patrzących na ówczesne ryciny. Zepsuty smak wraz z zepsutemi obyczajami wkradać się począł do ubrań kobiet za czasów Ludwika XIV. Włosy, wysoko zaczesane, podpieran ołbrzymimi wałkami i grzebieniami, układając na wierzchu całe kaskady drobnych loczków; były to formalne budynki, potrzebujące osobnych architektów. Skromność średniowieczna wypartą zupełnie została, a głowy pani de Pompadour, de Mantespan, i la Valdeere były modelami całej nieomal Europy, jedna

Ninon de Lenclos zatrzymała dawną prostotę, unieśmiertelniając długie loki swem nazwiskiem. Do tej mody szalonej zabrakło często wlosów — weszły przeto powoli w modę olbrzymie peruki z nieodstępnym im pudrem, — wszystko nosiło znamie zepsutego smaku baroko. Zwyczaj ten przeniósł się, niestety! i do naszej Polski, bo, jak mówi poeta:

„Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.“

Widzimy więc perukę u nas na tronie i na głowach przywódców arystokracji i inteligencji ówczesnej — aż ją wyśmiał bez litości nasz Korzeniowski w znanej komedii tak, że już pewno do nas nie powróci.

Dopatrując się charakteru epoki w tych odmianach rozmaitych główek kobiecych — coż tu powiedzieć o tych z roztarganym włosen Virago rewolucyi francuzkiej i komuny ostatniej, gdzie — zdaje się — nie patrzymy już na kobietę, ale na Meduzę z syczącemi zmijami wokoło. Czyż ten widok nie maluje trafnie tego szalejącego krwi żądno ludu, gdzie serce i rozum przestały dyktować prawa narodom?... A coż powiedzieć o naszym wieku, tym wieku pary i szybkości — w ostatnich lat dziesiątkach dążącym do takich przewrotów. Strąca on kobietę z jej tradycyjnego stanowiska — więc też układowi jej wlosa odrębny nadaje charakter; czy nie byliśmy nieraz już w kłopotcie, patrząc na sylwetki, wychylające się z okien pociągu, lub powozu?... tu i tam włos krótko przycięty, kapelusz męzki, na boku osadzony, binokl na nosie, tak, że często dopiero głos miękki i dźwięczny oświecił nas w błędzie. Przechodząc w ten sposób wiek po wieku, możnaby śmiało twierdzić, że główka kobieca ma też rodzaj swej historii — czyż więc jej słusznie nie należą się pewne uwagi i spostrzeżenia?

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

W Wiedniu zaczęło wychodzić dnia 16 marca nowe czasopismo ilustrowane, naukowe, literackie i społeczne p. n. „Postęp.“ Pierwszy numer nowego pisma zawiera słowo wstępne: „Prawdą a pracą,“ którego autor, przemawiając w imieniu redakcyi, określa cel i zadanie wydawnictwa. „Dalecy od złudzeń — pisze między innemi — stajemy na twardym, lecz silnym gruncie prawdy i pracy. W tych pojęciach mieści się znaczenie walki, którą podejmujemy.“ Następnie stawia autor pytanie, gdzie jest prawda bezwzględna, gdy to, co wczoraj uchodziło za prawdziwe, dziś jest przeżytem? Jedne pojęcia ustępują drugim, a te nowe znów się przekształcają i przetwarzają, choć wszystkie noszą na sobie znamie prawdy. Ale węzeł, kojarzący rozliczne stronnictwa, poglądy, zdania i zapatrywania sobie przeciwne leży w dobrej woli. Ta „dobra wola“ będzie hasłem „Postępu.“ W końcu wyrażoną jest nadzieja, że nowe czasopismo dozna poparcia od rodaków w stolicy Austrii, która tyle mieści polskich rodzin, a zarazem że dozna gościnności od obcych.

Z obszerniejszych artykułów obejmuje nadto pierwszy numer „Postępu“: Dr. Franciszek Smolka (z ilustracją); Śmierć cesarza Wilhelma a Polacy, Nasza gospodarka; Notatki ze wschodu; Epizod z dziejów rewolucyi francuzkiej. W końcu ogłasza redakcyja „Postępu“ konkurs na napisanie humoreski, nowelki, lub szkicu powieściowego, którego ocenę wydadzą czytelnicy większością głosów, jak to już było praktykowane w warszawskich czasopismach. Ostatecznym terminem nadsełania prac jest dzień 30 kwietnia r. b. Nagroda za najlepszą pracę wynosi 100 zfr. Prace konkursowe mają być oznaczone dowolną dewizą,

adres autora zawarty w opieczętowanej kopercie i tym samym co i praca opatrzony godłem. Prace należy przesłać pod adresem: Wydawnictwo „Postępu“ w Wiedniu (Wien, IX. Berggasse, 7.)

Nowe czasopismo, powstałe wśród rozrzuconych na obczyźnie rodaków, witamy po koleżeńsku, sercem życzliwym i pragniemy dlań ziszczenia się nadziei, wyrażonych w słowie wstępem.

Cesarzowa Wiktorya w Poznaniu.

Dziwiący kwiecień długo zapewne wrytym pozostanie w sercach i umyśle mieszkańców wielkopolskiej dzielnicy naszej, która bez nacisku i rozkazów z góry uroczyste zaprawdę zgotowała w swych murach przyjęcie dostojnej monarchini, pragnąc kilkogodzinny Jej pobyt w starym grodzie Przemysława uczcić należnym hołdem uszanowania i wdzięczności za niespodziany zaszczyt i wyszczególnienie.

Wezwani telegramami od komitetu obywatele z prowincyi stawili się tłumnie, wraz z nimi przybyli i włości nasi.

Na ulicach zapanował ruch i gwar, jakiego od dawnych czasów nie pamiętano w cichym Poznaniu. Domy tak zostały wspaniale ozdobione chorągiewami, dywanami, napisami i wieńcami, jakby nie kilkanaście godzin, ale przynajmniej dni kilkanaście czyniono przysposobienia na przyjęcie czcigodnego gościa.

Nieliczone tłumy podążyły na dworzec, gdzie o godz. 12, minut 58, doczekały się przybycia od strony Krzyża pociągu dworskiego, z którego też wysiadły Najjaśn. Pani i córka Jej, księżniczka Wiktorya, i udały się do salonu I klasy, na ten cel przysposobionego.

Tutaj — mimo okazywanej wyraźnie z pewnej strony niechęci i stawianych przeszkód — znalazła najpierw wolny przystęp do cesarzowej deputacya pań polskich, bardzo łaskawie przez nią przyjętych. Hr. Marya Kwilecka z Oporowa wręczyła Jej piękny bukiet z fiołków, ulubionych kwiatów cesarza Fryderyka, który to bukiet Najjaśn. Pani trzymała odtąd w ręku przez cały przeciąg ceremonii zwiedzania miasta.

Z dworca udała się cesarzowa do szkoły na św. Marcynie, gdzie umieszczeni zostali ubodzy powodzianie i gdzie dłuższą szaszyciła rozmową o stanie ich zdrowia dr. Koszutkiego, pod którego lekarską opieką znajdowali się w ciągu całej powodzi dotknięci tą klęską.

Obszerny opis kilkogodzinnego pobytu Najjaśn. Pani w stolicy wielkopolskiej podały wszystkie codzienne, miejscowe pisma, my zatem — pomijając znane już szczegóły — wspomnimy jeszcze tylko, że po obiedzie u naczelnego prezesa w gmachu regencyjnym uzyskało posłuchanie gro-no, złożone z czternastu pań polskich, którym przewodnicząca p. hr. Honoryna Kwilecka przemówiła w imieniu swych rodaczek, wyrażając w ciepłych, serdecznych słowach hołd i wdzięczność monarchini za dowód szczególnej łaski odwiedzenia tak srodze klęskami nawiedzanej krainy naszej.

O godz. 5-tej po południu cesarzowa opuściła Poznań w towarzystwie ks. Ferdynandowej Radziwiłłowej. Licznie bardzo zebrana na dworcu publiczność zamanifestowała swą

radość i wdzięczność z odwiedzin Naj. Pani frenetycznymi, bez końca, ku czci Jej okrzykami w polskim i niemieckim języku.

Wśród nawałnic, burz i ciemności każdy, choćby najmniejszy promyczek światła bywa pożądanym i z radością witany — tak i przyjazd dostojnej monarchini, odbyty na życzenie i z upoważnienia chorego Jej męża, który żal wyraził, iż sam przybyć nie mógł — wśród obecnej doli, wśród ucisku, klęsk rozlicznych a dojmujących oblewa zorzą różną chmurny, ponury horyzont życia i zamarłe w sercach rozbudza nadzieje. — Zastanawiając się głębiej nad faktem wyszczególnienia odwiedzinami uciśnionej zewsząd krainy naszej, nad faktem okazanego współczucia, niepodobna komukolwiek, nawet przy najbardziej pesymistycznym usposobieniu, nie upatrywać w nim choćby promyczka jaśniejszej w przyszłości doli, choćby chęci złagodzenia rozpaczliwego położenia naszego. — Z faktem tym pełnym doniosłości i znaczenia powiązawszy świeże wspomnienie uroczystych zapewnień monarchy, iż „wszyscy poddani bliżcy są sercu Jego“ — miejmy nadzieję!... i niech nam ona tymczasowo doda hartu i męztwa do wytrwania w nawiedzeniach ciężkich

Logogryf

ułożyła Zofia A.

Sylaby:

blaj, cel, e, fe, i, i, ka, kon, ku, le, le, or, ra, ra, sa, sa, se, ster, stris, ta, te, usz, usz, wel, woj, xo, zo, zy.

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny han tatarski, zdobywca Chin. — 2. Mityczny piewca starożytnej Grecyi — 3. Król egipski. — 4. Wynalazca termometru. — 5. Jedna z wysp Jońskich. — 6. Królowa z starożytności. — 7. Historyk. — 8. Artysta-muzyk. — 9. Oddział wojska. — 10. Wonny i piękny kwiat.

Litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, oznaczają nazwisko i posiadłość ziemską wielkopolskiego poety.

Rozwiązanie kryształowej lamigłówki w nr. 9 „Domu polskiego.“

A
e r a
s z y j a
C z e s ł a w
k a s z t e l a n
A r y s t o m e n e s
S a l a m a n k a
E u f e m i a
r a n e k
R e j
s

Dobre rozwiązanie nadesłała p. T. Zielińska z Lublińca i p. Lucyan Theurich z Gniezna.

TRĘŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Czem jest modlitwa. (Wiersz). M. — Kilka słów o tegoczesnych stosunkach społecznych podług rozprawy Maxa Nordau, napisała E. z K. P. (Dokończenie). — Z piśmiennictwa francuzkiego. Maciej W. — Jak żywić niemowlęta i dzieci napisał Dr. Józef Koszutski. (c. d. n.) — O włosach przez Zofię A. (Dokończenie nastąpi). — Wiadomości literackie. — Cesarzowa Wiktorya w Poznaniu. — Logogryf. — Rozwiązanie kryształowej lamigłówki w 9 numerze „Domu polskiego.“